ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 25 września 1909 r. № 39.

Wacław Gąsiorowski.

EMILIA PLATER.

27

Powieść historyczna.

Wieczór w wieczór teraz, przy kominku, rachowała armię Dybicza, opierała ją plecami o Bug i Niemen i brała we dwa ognie. Wieczór w wieczór, w zaciszu ulubionej narożnej komnaty, feldmarszałek Dybicz ponosił klęskę, a cała Europa pędziła co tchu na Rzeczypospolitej odbudowanie.

Tymczasem ledwie pani podkomorzyna oswoiła się z tym nowym ładem, którym toczyć się zaczęło życie mieszkańców liksnańskiego pałacu, gdy pewnego wieczora spadł, jak zawierucha, Cezary Plater, syn nieboszczyka pana Kazimierza dusiackiego. Spadł z gromadą nowin, przywiezionych z zagranicy, z gorączką czynu, z płomieniami takich argumentów, że pani podkomorzyna rady sobie z niemi dać nie mogła. Boć Cezary już nie o fundowaniu regimentu mówił, nie o zaopatrzeniu zrywających się do broni patryotów, nie o własnem zaciągnięciu do szeregów, ale o całego ludu poruszeniu, o przyznaniu mu bez mała szlacheckich przywilejów i o takiem wojowaniu, aby, kto żyw a zdolen na nogach się utrzymać, szedł na zapasy z Dybiczem.

Pani podkomorzyna, choć imaginowała sobie, że wywody Cezarego o ludzie cale nie są szczęśliwemi, gdyż po prostu starczyło sięgnąć do odwiecznego obyczaju i zarekwirować jednego żołnierza z dwóch dymów, przecież ustąpiła by im. Cezary bowiem tak przedziwnie powiadał o równości, o Piastowych cnotach, drzemiących na dnie serc kmiecych, że niechby tam była jego prawda. Ale, kiedy pani podkomorzyna, chcąc zlekka przymówić porywczości młodzieńca, zagadnęła żartobliwie, czy i niewiasty zamierza wezwać na pospolite ruszenie, Cezary, miast odpowiedzieć żwawym dowcipem, zerknął ku Emilce i rzekł:

— Gdybym mocen był je zakląć! W chwilach przełomowych narodów kobiety mogą wiele, bardzo wiele, dość przytoczyć Hiszpanię, dość wspomnieć na jednę Augustynę aragońską, na oblężenie Saragossy!

— Lub wziąć przykład bliższy — wmieszała się niespodziewanie hrabianka Emilia — z greckiej walki o niepodległość, z walki wczorajszej. Wszak męstwo i poświęcenie Bobeliny były podobno najtęższym bastyonem Missolunghi.

Podkomorzynie serce czegoś się ścisnęło.

— Kochanie moje, nie przeczę, jawią się i jawiły w dziejach rozmaite amazonki czyli bohaterki, ale... ale te najczęściej los... to jest przypadek wiódł, bo nie kobieca rzecz sławy wojennej szukać, nie kobieca...

— Prawda, cioteńko,—lecz my też nie mówimy o tych, które dla wywyższenia własnego, dla zawadyactwa oręża się imają, lecz o tych, których całem pragnieniem jest ofiara, jest myśl niesamolubna, wielka, które moc czerpią z gnuśności mężów...

— Dziewica Orleańska—dodał Cezary.

Twarz staruszki szkarłatem się okryła.

— Bajesz, waćpan, bajesz! Toć mieszasz do cale błahej dyskusyi posłankę Stwórcy, wybrankę Boga samego!..

— Tak, sto razy tak! — podjął żywo Cezary. — Lecz czyż wolno nam nie ufać, że i nam ześle podobną wybrankę!

— Wolejby nowego pana Czarnieckiego! — ucięła z rozdrażnieniem podkomorzyna i, porwawszy za laskę, wyszła z komnaty.

Od tej chwili pani podkomorzyna posmutniała, zaniechała swych, jak je nazywała, „rewolucyjnych turbacyi", a jeno pilniej, niż przedtem, dopytywała się o to, co czyni Emilka, jeno, gdy ta ostatnia, chcąc nagrodzić staruszce dłuższe osamo-

tnienie, serdeczniej do niej się tuliła, oczy podkomorzyny łzami zachodziły, a drżące jej palce cisnęły kurczowo dłonie hrabianki.

Podczas narad, które Cezary odprawiał co i raz z Emilią i z Juliuszem Grużewskim, który z tygodnia na tydzień wpadał do Liksny, wynikł rozruch tak gwałtowny a tak rozlewny, że w dni kilka sięgnął Szlosberga, Antuzowa, Siesik i hen, aż w rosieńskich Kielmach się ozwawszy i w Prenach, u pana Ezechiela Staniewicza, przyczyniwszy gorączki, parł równocześnie i na Upitę, i na Telsze, i na Oszmianę, i na Dzisnę i wracał tam, skąd się począł, wracał zawziętszym, tęższym, zadufańszym.

Na drogach i traktach, już i tak niezwykle ożywionych dla nieustannie snujących się kuryerów wojskowych, trenów żołnierskich, podwód, rekwirujących prowiant dla armii, wreszcie oddziałów kawaleryi i piechoty, ukazały się nagle sznury sanek, saneczek, wózków i wozików, istne łańcuchy—samotrzeć pędzących forysiów dworskich, pachołków, ekonomczukow, a nawet i paniczów, i leciwych zgoła szlachciców. Urzędy powiatowe i policyjne zaniepokoiły się. Na stacyach pocztowych, po karczmach i zajazdach snuć się zaczęły jakieś dziwne a zakazane figury, a myszkować, a nadsłuchiwać. Nie wiele jednak te postacie potrafiły, bo każdy z jadących miał nie tylko paszporty akuratne, ale i godziwe dowody, że pilna sprawa familijna, gwałtowny proces, akt u rejenta zniewolił go do opuszczenia zacisza domowego i marznięcia na mrozie. I z listów, wiezionych przez sługi, gdy komu do nich zajrzeć przyszła ochota, jeno o błahych i osobistych kwestyach można było powziąć wiadomość.

Naraz cichy dotąd a głuchy na wszystko lud zaniemeński zaszemrał o znakach niebieskich, o siedmiu świecach, jarzących się na podchmurzu, o trzech kolumnach czarnych i jednej białej, która, o słońca wschodzie, zmaga owe trzy czarne kolumny i o tem, jako wartownicy widzieli o północy rycerza na białym koniu, przelatującego z Ostrej Bramy na katedrę wileńską i jako tym rycerzem był sam Święty Kazimierz, umiłowany patron i orędownik. Do tych powiadań niebawem przyłączyły się inne o zbliżaniu się znów tych bardzo dawnych a serdecznych czasów, o których najstarsi wiekiem, niby o bajce, za chłopięctwa od dziadów słyszeli, a które jasności i dobroci wszelakiej tyla przysporzą, iż chłop w chłopa, kmieć w kmiecia, żmujdzin, litwin, łotwa, lipek, a choć sobie żydzie pejsate, niby kożucha na wiosnę, tako biedy i mizeractwa się zbędzie, byle jeno krzynkę do kupy się wziąć, a społem barami dźwignąć. W czem niemasz trudności, bo lud koroniarski akuratnie takuteńko uczynił i chodzi sobie już w tylem bogactwie, iż pana od chama nie odróżnisz, ile że razem pod ramiona się wodzą. Koroniarze pierwsi i gracko się uwinęli, bo takie ich prawo. Organista zawszeć bliższym jest ołtarza. Koroniarze zaś właśnie wszystkiej ziemi ludzkiej kluczwójtują.

Był koniec lutego. Pani podkomorzyna Zybergowa od dwóch tygodni gotowała się co dnia do zamierzonego wyjazdu z Emilią do Antuzowa, do Gasparów, i co dnia daremnie wyczekiwała powrotu hrabianki z wycieczki do Łużek, do pani Apolinary z Żabów, matki Cezarego i Władysława dusiackich. Na domiar, po wyjeździe hrabianki, zgiełkliwą dotąd Liksnę taka cisza zaległa, że ani rady sobie dać, ani czem niepokój uciszyć. Pan Cezary nie pokazywał się, Marynia Mohlówna znaku życia nie dawała z Imbrodów, pan Adam krasławski gdzieś za Lucynem bawił, Szlosberg milczał, nawet Grużewski, gość, niezawodny dotąd, przepadł bez wieści.

Podkomorzyna już rady sobie dać nie mogła z niepokojem. Modliła się, układała kabałkę, odbywała rozmowy ze starym zarządcą Prószyńskim, wzywała do siebie jego córkę, Anetkę, Emilii powierniczkę i przyjaciółkę, a co moment wypominała wszystkie okoliczności, towarzyszące odjazdowi hrabianki, co moment dociekała przyczyn tak długiego oddalenia, co moment szukała odpowiedzi na cisnące się jej do głowy domysły.

Aż nareszcie, po dwudziestu dniach, wraz ze śnieżycą i zadymką, późnym wieczorem przybyła hrabianka, ale tak blada, tak wycieńczona, że gdyby nie ten sam uśmiech pogodny, gdyby nie toż samo rozlśnione a gorące spojrzenie wielkich oczu, ledwie można było ją rozeznać.

Pani podkomorzyna zatrzęsła się z przerażenia,—lecz hrabianka nie dała jej przyjść do słowa.

Była w Łużkach u pani Apolinary, a potem do Wilna jej wypadło koniecznie. Przeziębiła się nieco i musiała dni kilka odpokutować—i to wszystko. Widziała się z panią Tadeuszową, dała jej paczki dla Lucyana i Ferdynanda do Dyneburga. Trzeba je przez zaufanego wyprawić, bo do podchorążych dostęp coraz trudniejszy. Mnóstwo ukłonów od wszystkich. W Wilnie popłoch. Akademików na święta nie puszczono. Nic to nie pomoże, bo, niech pobudka się ozwie, całe miasto porwie za broń... A ozwie lada godzina, może już gra, już porywa żmujdzkie powiaty!.. Nie było znikąd posyłki? Nic—nadjedzie niebawem, nie chybi. Pan Ezechiel Staniewicz jest w Połądze, gdy powróci, szawelskie z rosieńskiem staną, jako jeden mąż... Staniewicz bodaj, że już powrócił... Kto wie, to o czem się mówi, że się ma stać... już stać się mogło. Połąga będzie oparciem i arsenałem głównym. Dwa okręty angielskie tam wyładują zapasy... Komitet odebrał już po temu wskazania. Tak, Połąga z jednej strony, a Dyneburg z drugiej. Nie brak kunktatorów, którzyby chcieli do wiosny wybuch odłożyć. Ale o tem ani myśli. Każdy dzień opóźnienia mnoży trudności, bo pozwala Dybiczowi wzmacniać tyły armii, opatrywać magazyny, ściągać posiłki i zabezpieczać się.

DCN

Juliusz Zeyer.

STRATONIKA.

Fragment z helleńskiej romantyki.

6

W odpowiedzi na jego słowa smutnie wstrząsnęła głową, w spojrzeniu jej atoli, które zwróciła na lekarza, tlił się promyk nadziei. Z wdzięcznością podała mu dłoń na pożegnanie.

Kiedy Stratonika zniknęła za zasłoną, lekarz gorzko się uśmiechnął.

— Czyż to życie nie jest jeno kłamstwem zarówno w dobrem, jak i w złem znaczeniu? Czyż nie okłamujemy się wiecznie? Jakże mogłem ją pocieszać tak marną obietnicą! Fatalną, zaprawdę, popełniłem omyłkę, zdradzając przed nią miłość Antyocha. Przeklęta bądź słabości woli i języka, która tak często wiedziesz na bezdroża!

Tak rozmyślając, lekarz zbliżał się do komnat Seleukosa, aby według zwyczaju zdać mu sprawę przed zaśnięciem o stanie chorego. Zastał króla wzburzonego wielce. Seleuk dowiedział się o chorobie Stratoniki i był na drodze do gineceum. Lekarz zatrzymał go i począł uspakajać.

— Choroba żony twojej została wywołana jedynie przez chwilowe osłabienie wskutek silnego napięcia nerwów. Bądź spokojny, przyjacielu! Królowa obecnie zasnęła, a jutro zbudzi się bez wątpienia zdrowa i świeża.

Seleukos z uczuciem ulgi odetchnął głęboko.

— Byłem tą wiadomością zupełnie zgnębiony — zwierzał się lekarzowi.—Rozdrażniona wyobraźnia powiększała zło możliwie do nieskończoności. Lękam się teraz wszystkiego. Gniew bogów, jak okropne brzemię, zaciężył nademną. Czułem, że nie stanie mi sił żyć w tej ciągłej niepewności już nie tylko o Antyocha, ale także o Stratonikę!

— To świadczy, jak głęboko ją miłujesz—rzekł lekarz, wpatrując się badawczo w zmęczoną twarz przyjaciela.

— Dziwisz się temu? — spytał król.—Wydaję ci się za starym, bym jeszcze mógł miłować. Sądzisz, że to nie idzie w parze z siwiejącym włosem? Otóż, dowiedz się, mój przyjacielu, że w tym względzie przyjętej powszechnie podlegasz omyłce. Miłość młodzieńcza płomienniejszą jest i bardziej szaloną, zaiste; ale wierz mi, że namiętność głęboka i silna, niczem nie zmożona, często nawet druzgocąca, częściej ogarnia mężów, niż młodzieńców, których miłość codzień do innego zdolna zwrócić się przedmiotu. Ogień łatwo wybuchający i strzelisty gaśnie szybciej, aniżeli na dnie wulkanu tlejący w ukryciu. Kocham Stratonikę nie tylko jako swe dziecię, ale kocham ją zarówno żarem mych minionych dawno lat dwudziestu.

— Nie sądź, że cię nie rozumiem—wtrącił lekarz. Sam ożeniłem się przed dwoma laty i żona moja nie o wiele starsza od twej małżonki. Przytem twoja wysoka, sprężysta i bohaterska postawa, twoje oko żywe i płonące zdradzają na pierwszy rzut oka silny obieg krwi w twem ciele i gwałtowne dopominanie się zmysłów o swoje prawa!

Król potrząsnął głową przecząco.

— Nie, przyjacielu, nie zrozumiałeś mnie zupełnie. Gdy mówisz o niej, nie wspominaj ani o zmysłach, ani o żarze mej krwi. Jestem zdrów i silny i żądze we mnie nie zamarły... to prawda; ale nie pożądanie ciała wiąże mnie tak silnie do tej cudnej, lotosowi podobnej istoty. Jestem przecież mężem dojrzałym, a nie młodym, pożądliwym szaleńcem, i dlatego me zmysły uczyniłem dawno podległemi mej woli. Stratonika od dnia naszego ślubu aż do tej chwili pozostała czystą i nietkniętą lilią, jaką odebrałem z rąk matki, aby wspólnie z nią do Antyochii odjechać. W przesyconym wonią półmroku gineceum żyje do dziś dnia tak, jak gdyby żyła pod rodzicielskim dachem.

— Wobec tego nie jest ona dotychczas w rzeczywistości twoją żoną?—zadziwił się lekarz i owo rosnące wciąż zdumienie odbiło się wyraźnie na jego twarzy.

Król nie odpowiedział wprost na pytanie przyjaciela, jeno w pogawędce poufnej rad dalej spowiadał się z tego, z czem przed nikim dotąd się nie zwierzył.

— Nie jest to dzisiaj tajemnicą, że interesy mego państwa zmusiły mnie zawrzeć bliższe stosunki z królem Demetryuszem. Cały świat wie, jak gorąco chwycił się tego związku król macedoński, dla wzmocnienia ze mną przymierza. Tron jego bowiem poważnie był zachwiany w burzach niezupełnie szczęśliwych walk, i dlatego szukał przymierza ze mną gorliwiej, aniżeli ja z nim. Z jego to strony wyszły pierwsze propozycye, aby związkiem rodzinnym umocnić naszą zgodę. Zażądałem tedy córki jego, której nigdy jeszcze dotąd nie widziałem, za żonę. Stratonika była już w obozie, gdy posłowie moi do niego przybyli, co dowodzi również, z jaką niecierpliwością oczekiwał mojej propozycyi. Uczynił jej tedy zadość niezwłocznie i wraz z całą flotą udał się do Syryi. Tam zatrzymał się w Rossa, dokąd i ja na spotkanie wyruszyłem ku niemu. Przybyła tam także z Cypru, jeszcze przed Demetryuszem, żona jego, Phyla, ta wspaniałomyślna córa Antypatra, nadto gorzko doświadczona przez życie i przez męża swego porzucona niewiasta. Sama w skromnej ciemnej szacie przybyła do mego obozu. Z pod odchylonego zawoju patrzała na mnie twarzą cierpiącej wdowy i męczennicy. Głęboki, szlachetny smutek ocieniał jej czoło, a spojrzenie jej blaskiem zamglonych gwiazd płynęło ku mnie. Mimowoli pochyliłem głowę przed tym wzruszającym majestatem cierpienia, i przyjęcie moje było hołdem dla tej bez zaprzeczenia wzniosłej istoty. Phyla z wdzięcznością patrzała na moje względem niej zachowanie i tak wreszcie rozpoczęła rozmowę.

— Uprzejmością swoją dodajesz mi, panie, odwagi, aby głosem serca mego do ciebie przemówić. Spiesząc tu, sądziłam, że niełatwo mi to przyjdzie; teraz jednakże śmiałość mi powraca, aczkolwiek słowa moje nie będą wiernym mych myśli wyrazem.

— O, pani! mów bez zastrzeżeń, co gnębi twą duszę; usta twoje szlachetnem jeno mogą rozbrzmieć słowem.

— Córka moja została mi zabraną—rzekła cicho Phyla, ocierając łzę.—Jak niegdyś Ifigenię, tak ją wloką dziś do ołtarza. Bądź, panie, jej obrońcą!

— Jak to mam rozumieć?—spytałem, niemile dotknięty.

— Stratonika jest dzieckiem — ciszej jeszcze i z coraz większą nieśmiałością mówiła Phyla,— a ty, panie, któremu pragną ją poślubić, jesteś prawie w wieku jej ojca.

Aczkolwiek starałem się wydać spokojnym, wzburzyły mnie jednak te słowa.

— Przebacz mi, panie! — prosiła Phyla.—Szczerość moja niechaj będzie dowodem mego wielkiego o tobie mniemania. Przezemnie przemawia

w tej chwili matka, niedbała na wszelkie względy, gdy idzie o szczęście jedynego jej dziecka. Sam przecież jesteś ojcem i, powiadają, że ojcem, który kocha. Przeto na życie syna twego cię zaklinam: bądź sprawiedliwym i uznaj słuszność moich obaw! Czyż córka moja będzie z tobą szczęśliwa?..

— Pani!—odrzekłem—los Ifigenii nie spotka twego dziecięcia. Nie powiodą twej córki siłą do ołtarza. To jedno mogę ci przyrzec i ani mniej, ani więcej ponad to.

— Dzięki!—cicho wyszeptała Phyla i, okrywszy zawojem twarz, odeszła.

Następnego dnia przybył Demetryusz. Bez broni wyszliśmy sobie naprzeciw i wymienili uściski w obliczu naszych wojsk. Wszystkie krzywdy i urazy zostały nagle zapomniane i wśród okrzyków radości owładniętych zapałem bojowników rozpoczął się szereg onych wspaniałych uroczystości, które stały się dziwem całego świata.

Po ucztach, na których ja ugaszczałem Demetryusza i jego wojsko, król macedoński zaprosił mnie na swą łódź olbrzymią, niby pływający pałac królewski świecącą złotem komnat, przepychem Wschodu bogatych, i niezmiernemi skarby przeciążoną. Koroną jednak tych wszystkich bezcennych piękności była Stratonika, którą tu po raz pierwszy ujrzałem. Nie trzeba jej było, zaiste, ani tych pereł i drogich kamieni, ani owych niewidzianych kosztownych materyi, ani dyademów, zausznic i naramienników, pod których ciężarem uginała się nieledwie. Niczem były wobec jej piękności, chociaż blask ich tajemniczym nimbem ją otaczał i owiewał urokiem bajecznych jakowychś kapłanek bóstwa nieznanego.

Zbliżyłem się ku niej z zachwytem, nie zapominając jednakże proszącego spojrzenia jej matki, smętnej i wzniosłej w cierpieniu, i, wierny swej obietnicy, zadałem jej pytanie:

— Czy masz wolę, Stratoniko, zostać moją żoną?.. Czy wiek mój nie staje chęci twej na przeszkodzie? Spójrz, oto włos siwy pod moim dyademem się kryje; nie lękaj się przymusu i, żadnych rozkazów niepomna, mów, jak ci serce własne nakazuje!

— Nie rozumiem—odrzekła zdziwiona,—dlaczego siwizna twoja miałaby stać na przeszkodzie naszemu małżeństwu. Widzę ją także nad czołem mego ojca i jest mi przecież drogą niewymownie.

Niezupełnie byłem uspokojony tą odpowiedzią Stratoniki, która wydała mi się jednakże w tej chwili przemiłą w dziecinnej swej prostocie.

— Nie ojcem jedynie mam dla ciebie pozostać, lecz małżonkiem. Czyż najcichszy nawet głos protestu przeciw onemu związkowi we wnętrzu twem się nie odzywa?

— Nie, panie—odrzekła—nie słyszę takiego głosu w sobie. Przecz miałby się tak odzywać?

Serce moje zabiło silniej. Głos jej przenikał w nie, jak muzyka najsłodsza. Było coś wzruszającego w tem dobrowolnem oddaniu się tego świeżego, rozkosznego kwiatu w moje ręce. Wyrzec się jej było dla mnie w tej chwili niepodobieństwem. Ująłem jej rękę i z nietajoną zapytałem radością:

— Chcesz więc za radą ojca swego zostać moją żoną?

— Tak, panie, z ochotą będę twoją—odrzekła bez zmieszania, dłoń mi podając. — Kocham bohaterstwo, a sławą twego imienia rozbrzmiewają niebiosy!

Oczy jej płonęły, jak gwiazdy. Czułem się w tej chwili młodym i dumnym. W ten sposób zostaliśmy sobie poślubieni, a następnego dnia przywiózł ją Demetryusz do mego obozu i po świetnej uroczystości rozpoczęliśmy przygotowania do powrotu do Antyochii.

Tego samego dnia, kiedy mi oblubienica została przywiedzioną, w komnacie mej znów zjawiła się Phyla. Weszła cicho i niepostrzeżenie, ciemnoszarą okryta zasłoną i temi do mnie przemówiła słowy:

— Przychodzę się z tobą pożegnać; Demetryusz posyła mnie do brata mego, Kassandra, aby jego gniew przejednać za to, iż odebrał Kilikę młodszemu z moich braci. Kiedy dokonam, co mi zostało polecone, powrócę znów do samotności mej bez męża, bez najukochańszego mego dziecięcia. Nie uskarżam się na los mój, Seleukosie! Wiem, że jesteś szlachetny — i przeto czcią i wdzięcznością moją cię darzę. Dotrzymałeś zaprawdę swego przyrzeczenia, ale nie przyszło ci to z trudnością. Stratonika, nie znając życia i świata, nie znając siebie ani innych, nieświadoma, co miłość, co nabożeństwo, — co szczęście i co żal—rozstrzygnęła o swoim losie, jak dziecko prawdziwe. Oddała się tobie z tą samą nieświadomością i spokojem, jak gdyby oddała siostrze swej drobną jakowąś zabawkę. Olśniona wielkością twej sławy, witała ten związek z zachwytem, jako nową dla siebie igraszkę. Zdasz się jej być Agamemnonem—rozsławiony chwalbą pieśni i nimbem wzruszających podań promienny. Marzyłam o szczęściu mojego dziecka, a los dał mu jedynie marny blask i tron.

Nie bierz mi za złe, że w ten sposób przemawiam do ciebie. Pomnij, że stoi przed tobą żona Demetryusza, sławnego, jako ty, króla; niewiasta, której znane są zbliska sława i korona—która ciernie cierpień wszelakich poznała, zaścielające drogę zawistnej potęgi i wielkości królewskiej. Przebacz mi więc, jeżeli słowa moje przepojone goryczą. Stratonika jest twoją. Ze spokojnym uśmiechem powieziesz ją do Antyochii, gdyż sama na ten związek zgodziła się z radością. Ale—wysłuchaj, Seleukosie, gorącej prośby mej! Jeżeli kiedyś Stratonika pozna swój błąd, kiedy w oku jej, zgaszonem tajemnie przelanemi łzami, dostrzeżesz, że, zbudzona ze snu dziecięctwa, rozmyślać i czuć poczyna,—kiedy uśmiech jej smutny powie ci o wielkim bólu jej rozczarowania i mimowolnej ku sobie urazie—o! nie bądź wtedy, Seleukosie, surowym i okrutnym! A później, kiedy płomień twych zmysłów przygaśnie i Stratonika ci spowszednieje—nie odpędź od siebie bezlitośnie biednej, której młodości złoty kwiat łamiesz dziś swą ręką, aby upajającą jego wonią samemu odmłodnieć na chwilę! O, królu, przyrzeknij mi, że prośbie mojej zadość uczynisz! Pomnij, że przysięgę twoją, jako jedyną radość, poniosę z sobą na smutne wygnanie. Bądź dobrym, o, królu, a z żarliwością nieszczęsnych będę ci z mej samotni błogosławić! Takich błogosławieństw wysłuchują zawsze bogowie miłosierni!

Tak przemawiała Phyla—a głęboki dźwięk jej głosu, smętne jej oczu spojrzenie i bolesna treść jej słów wzruszyły serce me do głębi. Zdało mi się nagle, że widzę przed sobą zamordowaną młodość nic nie przeczuwającej Stratoniki, która smutnym wyrzutem patrzy mi w duszę—do śmierci. Jakoweś nieokreślone, niejasne uczucie, coś niby litość bezmierna, odezwało się we mnie i jako upojenie zachwytu uskrzydlało mi duszę.

Ująłem obie dłonie królowej i, patrząc w jej oczy, mówiłem przekonywająco:

— Odejdź w pokoju, o, Phylo, do cichego domu swego! Nie zamorduję młodości twego dziecka i nie wy-

ciągnę ręki w zmysłowym szale po ten kwiat biały i bez skazy, dopóki w oczach Stratoniki nie ujrzę pragnienia mej miłości. Wybierając mnie, córka twoja ofiarowała mi w cudnem spojrzeniu swem duszę niewinną. Pragnę więc, aby mnie sama obdarzyła miłością. Dziecię twe, mówisz, nie zna miłowania. Nie nadużyję jej nieświadomości. Stratonika w moim domu będzie zarówno bezpieczna, jak pod twoją opieką. Odejdź w pokoju!

I Phyla odeszła z uśmiechem szczęścia, błogosławiąc naszemu związkowi.

— A ty, czy w zupełności dotrzymałeś swego przyrzeczenia? zapytał lekarz.

— Tak, mój przyjacielu! Weź pod uwagę to, że czas burzliwej młodości mej przeminął, a także nie zapominaj i o tem, że nie tylko na miłość, ale na życie wogóle innem dziś poglądam okiem, niżeli wtedy, gdym pod słodko uśmiechniętem niebem Hellady przebywał. Nie napróżno, Erazystracie, zwiedzałem brzegi Indu i Gangesu. Czy sądzisz, że można zapomnieć nauk takich mędrców, jak Kalanos, przed którym sam Aleksander Wielki z bezmierną czcią pochylał głowę? Szlachetny ten indus aż do kraju persów z nami podążył. Jak gwiazda, świeciła jego mądrość; miłości pełna bogobojność jego zdała się, niby słońce, serca ludzkie ogrzewać, a słowa, jak dźwięk muzyki najsłodszej, czarowały duszę. Tym, którzy chętnie go słuchali, objawił on, jako duch nad ciałem dzierży panowanie; uczył nas gardzić ślepym zmysłów popędem. Nie! nigdy nie zapomnę nauk Kalanosa, jak nie zapomnę również nigdy podniosłej jego śmierci, przez którą okazał nam moc swej duszy w sposób, zaiste, najświętszy. Przygnieciony brzemieniem choroby cielesnej, rozkazał nam ułożyć stos i temi słowy żegnał się z królem i uczniami swymi: „Chcę umrzeć, albowiem piękniejszy jest skon, niż ustąpienie z obranych dróg przez ciała niedołęstwo!“ I szedł dobrowolnie na śmierć, nie bacząc ani na łzy nasze, ani na prośby króla Aleksandra. Dziś jeszcze go widzę, jak rozdawał dary, ofarowane mu niegdyś przez króla, jak srebrne swe ostrzygł kędziory bogom na ofiarę, jak, wieńcząc się kwieciem i hymn wielki śpiewając słońcu wschodzącemu, uklęknął na stosie i dał znak do podpalenia. Całe wojsko uderzyło w krzyk okropny— nawet słonie wydawały ryki, do płaczu podobne, które zagłuszał jednak grzmot rogów wojennych. Tymczasem płomienie podniosły się ku górze, i rude obłoki ognia zasłoniły go przed nami.

„Ten człowiek—rzekł wtedy o nim Aleksander — pokonał nieprzyjaciela groźniejszego, aniżeli ja i całe wojsko me!“

Za przykładem owego to mędrca, Erazystracie, podjąłem walkę przeciw zmysłom, przeciw nieprzyjaciołom, które on zawsze tak świetnie zwyciężał.

I Seleuk zadumał się przez chwilę, poczem tak dalej prowadził rozmowę:

— Pojmujesz teraz, czem jest dla mnie Stratonika i jak bardzo ją miłnję. Ona—to źródło czystych mych uczuć i myśli podniosłych,—to słodka jakowaś nadzieja,—to nowa młodość moja, co stoi przy mym boku, wyższa ponad koronę królewską, warta więcej, aniżeli cała Syrya. Jakże małej wagi jest chęć sławy, która tę Syryę zdobyła i całe to wielkie założyła państwo! To były jeno: siła mych ramion i bystrość mego umysłu, które po dziś dzień mnie wiodły. Teraz atoli przyszła pora stać się wyznawcą nauki Kalanosa. Pragnę, aby ziemia, którą zawojował mój miecz, stała się szczęśliwą, aby każdy, w granicach państwa tego żyjący, panowanie moje błogosławił. Dlatego bowiem jedynie wzniosłem ową wielką Syryę, aby nieskończenie wielu ludzi szczęście w niej znalazło. Zadanie to wielkie. A skądżebym czerpał siłę i zapał ku niemu, jeśli nie z duszy istoty, ponad wszystko miłowanej?—Syn mój ożeni się i do żony swej należeć będzie. Mnie pozostanie jeno Stratonika. Będzie ona, jak biała gołębica, nad syryjskim unosić się krajem i, jako moje z uwielbieniem ku niej zwrócone oczy, tak spoczną na niej źrenice wszystkich poddanych, którzy uwierzą w nią i jej będą błogosławili. Widzisz, jak niewiele od życia pożądam dla siebie!

Król zamilkł ponownie i w głębie własnych myśli i dumań się pogrążył.

Lekarz, który, zdziwiony, słuchał młodzieńczych rojeń przyjaciela, także zapadł w zadumę.

DCN.

Dzieci zmierzchu.

Na łąki lazurowe dali gwiezdnej bożej
Wyszliśmy dzieci zmierzchu i błądzimy z wiarą,
Że nam słońce wyzłoci naszą dolę szarą—
Nasz ugór... A my tęskne ramiona ku zorzy
Otwieramy—my w ciszy solennej chłoniemy
Świateł śćmionych milczących orszak duchów niemy...

Bogu śpiewamy chwałę dziękczynną i kruże
Napełniamy serc naszych ufnością po brzegi,
Że my—doli tułaczej wyskrzydlone zbiegi—
Akordy boże—w bożym rozebrzmimy wtórze
Pieśni, co po najwyższe sięga niebios kręgi,
My—dwie arfy rozgrane, dwie tęczowe wstęgi!

Wiecznie nas otchłań światła niezmierzona mami,
Niby ogród melodyą zapachów mdlejącą —
Wiecznie cienie aniołów pielgrzymują z nami

Po szlaku z gwiazd, pod arkad drzewami i dusze
Łasą się kwiatów ku nam i niepokojąco
Woniami poją w złotych blasków zawierusze...

Wędrownym cieniom w ciągłej za światłem pogoni
Zorza krasą tęczową białe pióra maści —
I my, stojąc nad ziemską otchłanią przepaści,
Nie widzimy obłoku dobroczynnych dłoni,
Co słonią oczy—jeno, jak cud, się rozwiera
Czeluść błękitna, pełna wolnych duchów sfera...

Jakże nam boju z wrogiem nie toczyć wiecznego?
Jakże głosom niebianów, które lazur wchłania,
Być, jak kamień runiczny—nie słyszeć wołania
Duchów bożych, gdy w przestwór tęczujący biegą?
Zali—miast poszybować w odmęt światów górny—
Prochy marzeń zetlonych kłaść w popielne urny?..

O jakże dzieciom zmierzchu, synom ciągłych mroków,
Nim wieczność swoje z bronzu otworzy wierzeje
I zbawiennym potopem świetlanych uroków

Dusze do dna—jak konchy kwiatowe—naleje:
Nie błąkać się po łąkach z gwiazd—a w zmierzchu płaty
Jeno, jak w płaszcze, tulić swój lot przebogaty?...

WŁADYSŁAW ZĄLEWSKI.

OGRÓD ALLAHA.

Przekład z angielskiego.

Głos jego urwał się. Z oddali dopłynął rozmodlony głos dzwonka kościelnego. Domini nigdy dotychczas nie słyszała tego dzwonka w ogrodzie i teraz uczuła, jak gdyby go nie uszami słyszała, lecz duszą. Gdy go słuchała, uczuła, iż ręka Androwskiego, która była gorącą, staje się zimną. Puścił ją, i znowu o uszy jej obił się ów straszny dźwięk, który słyszała poprzedniego wieczora w pustyni, gdy on odwrócił się wraz z koniem i odjechał od niej. I teraz, jak wtedy, odchodził ją w milczeniu, lecz teraz wiedziała, iż chwila ta, iż ruch ten był ostatniem ich pożegnaniem. Z głową opuszczoną postąpił kilka kroków. Był blizko zakrętu na ścieżce. Patrzała na niego, wiedząc, iż chwila jeszcze—i będzie widziała jedynie drzewa i piasek. Patrzała na jego postać pochyloną, przywołując wszystkie swe władze, krzykiem duszy do się wołając, okrutnym, rozpacznym: „Pamiętaj to... pamiętaj to, jak jest... tu... i przedtem... pamiętaj... tak właśnie, jak jest... na zawsze". Gdy zbliżył się do zakrętu, woddali ogrodu rozległo się lekkie ćwierkanie fletu Larbiego. Androwski zatrzymał się, stał chwilę, zwrócony do niej plecami. A Larbi, ukryty i daleki, wypieszczał, wykołysywał drobne nutki miłości afrykańskiej, miłości w pustyni, gdzie słońce wiecznie trwałe, gdzie żądza mężczyzny gorąca, jak słońce, gdzie święci się Wolność ognista.

Wtedy Androwski zawrócił i szedł prędko, aż póki nie doszedł do tego miejsca, gdzie stała Domini. Zarzucił jej ręce na ramiona. A potem opadł na piasek, osuwając swe ręce poprzez jej piersi i wzdłuż całego jej ciała, aż póki nie zawarły się klamrą dokoła jej kolan. Przycisnął twarz do jej sukni u kolan.

— Kocham panią!—rzekł.—Kocham panią... lecz niech pani nie słucha... pani nie powinna słuchać... nie powinna. Ale muszę powiedzieć. Nie mogę... nie mogę nie powiedzieć, zanim odejdę. Kocham panią... kocham panią!

Słyszała, jak łkał u jej kolan, i dźwięk ten był, jak dźwięk mocy, który stał się słyszalnym. Ujęła w dłonie skroń jego.

— Słucham — rzekła.—Muszę słuchać.

On spojrzał ku niej, powstał na nogi, zarzucił ręce na jej ramiona, przygarnął ją i złożył swe usta na jej ustach, przyciskając całe jej ciało do siebie.

— Słuchaj!—rzekł głosem stłumionym u jej ust. — Słuchaj... kocham... kocham cię!

Dojrzeli dwa ptaki, jak sfrunęły z pod drzew, zatoczyły koło, uniosły się nad drzewami w niebie błękitnem—i jeden przy drugim—poszybowały z ogrodu w pustynię.

Księga IV.
Podróż.
XVI.

Wieczorem w wigilię ślubu Domini z Androwskim był dziwny zachód słońca, który zwrócił uwagę i obudził komentarze nawet pośród arabów. Dzień był piękny i spokojny, jeden z najśliczniejszych dni wiosny północno-afrykańskiej, i Batucz, odpoczywając po trudach zwycięskich dozorowania nad ostatecznemi przygotowaniami do dalekiej podróży w pustynię, zwiastował rajski ranek do drogi przez szlak prosty, który prowadził hen aż do Tombuktu. Gdy atoli promienne popołudnie dobiegało do końca, na niebo błękitne wystąpiła białość, jak gdyby to niebo stało się bladem, patrząc na jakiś zjaw straszny i żałosny. A pod tą białością nieba pustynia, wszystkie przedmioty i ludzie w oazie Beni-Mory przybrali wyraz osłupienia, jak gdyby czuli, iż są pod grozą jakiejś władzy, której wszechmocy nie mogli kwestyonować i której zarządzeń obawiali się. Białość ta w godzinę zachodu zaciągnęła się pasmami żółtego koloru i chmurkami drobnemi koloru żółto-zielonego, wraz z cieniem gorzkim i okrutnym zieleni, która raziła oczy, jak światło bezlitosne raziło je; barwy te atoli szybko zniknęły, i znowu przez krótki przeciąg zapanowała białość, aż póki nie spadła ciężko ciemność, gwiazdami przesiana. Wraz z tą ciemnością przyszedł głuchy żałosny poszum wiatru z pustyni, poszum zawodzący, który zadrgał nad wielkiemi przestrzeniami, przesnuł się między palmami i płaskiemi dachami i zamarł u stóp gór brunatnych poza Hammam Salahinem. Cisza, która za tem nastąpiła, krótka i natężona, była, jak dźwięk trwogi, jak krzyk protestu przeciw zbliżaniu się nieznanego, lecz strasznego fatum. A potem znowu przyszedł wiatr z zawodzeniem głośniejszem, z żywiołem powolniejszym, jeszcze nie najsilniejszy, lecz bardziej uporczywy, przeciągły, jakby ważący swe siły i sprawy, których ma dokonać.

Batucz spoglądał poważnie, słuchając wiatru i trzeszczenia gałęzi palmowych. Piaskiem wionęło mu w twarz. Nastawił kaptur burnusa nad turbanem, nasunął na policzki, zakrył usta fałdą swego haika i patrzał w ciemność, jak zwierz, który wietrzy coś, czego zbliżanie się zoddali odkrył jego instynkt.

Obok niego na werendzie kawiarni maurytańskiej stał Ali, smagłe chłopię arabskie, bronzowy i poważny, jak bożek, który był trubadurem Sahary, artystą na gitarze, śpiewakiem pieśni „Janat" i wielu innych śpiewów miłosnych. Lampka oliwna, przytwierdzona do pnia palmy, drgała żałośnie, a czerwone zarzewie tliło się w piecyku kawowym, rzucając mdłe blaski na stolik arabski z filiżankami od kawy, lśniące złotym deseniem. W kącie, z twarzą czarną i rękoma leniwie opuszczonemi, siedział przy ścianie stary murzyn, patrząc w przestrzeń wyłupiastemi oczyma i uderzając zakrzywioną pałeczką palmową w bęben owalny, którego szmer był pusty i głęboki, jak szmer wiatru.

— Mam pełne oczy piasku — rzekł Batucz.—Nie dobrze to wróży na jutro. Gdy Allah zsyła piasek, należy zakryć twarz i grać w kamienie wewnątrz kawiarni, nie zaś podróżować szlakiem na południe.

Ali nic nie rzekł, lecz naciągnął swój haik na nos i usta i spojrzał w noc, ukrywając swe smagłe ręce w burnusie.

— Cokolwiekbądź ześle Allah — ciągnął Batucz pieściwie po chwili,—*Madame* pojedzie. *Madame* jest odważna, jak lew. Nic nie ma w sobie z szakala. Irena nie jest od niej odważniejsza.

Wiatr znowu złączył swój poszum ze szmerami bębna, zamykając dwóch arabów w swem kole huczącem.

— Nie będą na to zważali — rzekł Batucz,—pojadą w burzę bez strachu.

Piasek werznął się ostrzej pod ich powieki. Weszli do wnętrza kawiarni. Szum wiatru urastał, aż wreszcie zlał się całkiem z szmerem głośnym bębna. Jednooki gospodarz kawiarni przyniósł im obecnie dwie filiżanki kawy i postawił u nóg. Skręcili papierosy i palili w milczeniu, sącząc kawę po-

woli. Wtedy Ali począł spoglądać ku murzynowi. Wpół przymknąwszy oczy, przybrawszy tęskny i prawie chorobliwy wyraz, złożył usta w uśmiechu, wdzięcznie kołysząc głową z boku na bok. Batucz patrzał na niego. Śpiewak otworzył usta i począł śpiewać:

Miłość kobiety jest, jak daktyl, od słońca [złoty,
Od słońca złoty,
I jak haszysze, i jak nargile, są jej pieszczoty,
Są jej pieszczoty.
Kochanku! w usta bierz cybuszek na słod- [kie wety:
Sącz haszysz i nargil sącz: to miłość jest [kobiety!
Janat! janat! janat!

W przejściu, gdzie lampka błyskała u pnia, stanął mężczyzna w ubraniu europejskiem i słuchał. Oczy jego świeciły w mdłym blasku dzikością podniety, w której była radość prawie szalona, lecz w której było razem coś, co trwożyło. Gdy śpiew ustał i tylko głos wiatru i bębna drgał w ciemności, zniknął on śród nocy. Arabowie nie widzieli go.

Noc nadciągnęła i burza się poczęła. Drzwi domów szczelnie pozamykano. Na dachach psy nocne tuliły się do kątów, drżąc i wyjąc żałośnie. Wielbłądy jęczały w stajniach, i pierzaste czuby palm kołysały się, jak fale na morzu. Zdało się, że Sahara wznosi głos nawołujący, który był głosem strasznym, jak wołanie na sąd ostateczny.

Domini wiedziała zawsze, że pustynia ją woła. I teraz w nocy słuchała jej wołania bez lęku. Ryk burzy słodkim był dla jej uszu, jak pieśń miłosna piasków. Przymierzał się on z ogniem, który rozświetlał chmurę namiętności w jej sercu. Krew jej cygańska została zbudzoną tej nocy, i junactwo chłopięce zdało się w niej szaleć wraz z burzą. Szum wiatru był, jak tętno grzmiącej muzyki wolności, wzywającej ją na przygody, które miłość chwałą okryje, na życie dalekie, które miłość doskonałem uczyni, na ścieże nie deptane słońca, o których śniła w cieniach i po których będzie wreszcie stąpała z towarzyszem swej duszy.

Jutro pocznie się jej życie, jej życie prawdziwe, o którem mężczyzna i kobieta śnią, jak więzień śni o wolności. I rada była, i dziękowała Bogu, że przeszłe jej lata były bez radości, że młodość jej była odartą z wesela. Dziękowała Bogu, iż doszła do lat dojrzałości, nie zaznawszy miłości. Kochała każdą łzę, którą kiedykolwiek uroniła, każdą chwilę rozpaczy, każdą myśl okrutną, każde rozczarowanie bolesne. Przywoływała do siebie zastępy dawnych trosk i smutków i błogosławiła je — i żegnała się z niemi na zawsze.

Gdy usłyszała pierwszy ryk wiatru, uśmiechnęła się. Sahara wypełniała słowa wróżbity. Jutro ona i Androwski pójdą razem w burzę i w ciemność. Sznur wielbłądów utonie w pustce obszaru. Ludzie z Beni-Mory będą patrzali na ich odjazd, będą być może żałowali tych, którzy będą ukryci pod zasłoną palankinu. Będą ich żałowali, jak Zuzanna żałuje już jej teraz,—oczyma rozwartemi, które są aż tragiczne. Zaśmiała się głośno.

Było już późno w noc. Wydzwoniła dwunasta, a ona jeszcze nie spała. Nie chciała spać, nie chciała utracić świadomości szczęścia, chwały, która jej życie nawiedziła.

Androwski—czy spał w tej godzinie? Pomyślała i pragnęła wiedzieć.

Tej nocy stała się w pełni świadomą całkowitej nietrwożności swego charakteru: stał się on pełnym i doskonałym przez doskonałość jej miłości. I wszystko w jej życiu zdawało się być zgodzonem doskonale, bowiem jej serce zgodzonem było doskonale z sercem mężczyzny.

Pozdrawiała burzę. Pozdrawiała nawet to, co spłynęło teraz do niej w burzy: pamięć umęczonej twarzy wróżbity, gdy czytał jej losy z piasku. Jest krzepkość ciała tak wielka i tak rzeźka, iż rwie się do walki. Dusza czasami ma podobną krzepkość i pełna jest żądzy podobnej.

— Wystaw mą miłość na próbę, o, Boże!—było ostatnią modlitwą Domini tej nocy, gdy burza najsilniej szalała.—Wystaw mą miłość na próbę największą, by mógł się dowiedzieć, czego inną drogą nigdyby się nie dowiedział.

I wreszcie zasnęła, spokojna, szczęśliwa, śród zamętu nocy, czując, że Bóg wysłuchał jej prośby.

Nadeszła jutrzenka, przedzierając się, jak pielgrzym wyczerpany, poprzez wietrzną ciemność, blada i nikła, zda się, bez mocy wzmożenia się i pochodu na cały dzień. Miasteczko i całą oazę przenikał teraz wskróś wściekły tuman, który już nie ciężko i flegmatycznie zawisał nad życiem i przyrodą, lecz który, jak obłąkaniec, rwał się na zwiady przed nawałą idącą, spowity w chmurę, by być wolniejszym do zbrodni. Był on wysłańcem pustyni, siłą nieprzepartą miecony od najdalszych zakątkow zwałów piaszczystych, podczas gdy sama pustynia poza nim wyła, jak gdyby czyny jego śledząca. Jak morze w czas wielkiej burzy uderza o ląd stały, tak pustynia waliła obecnie burzą w oazę, iż śmiała w jej łonie wyrosnąć. Każda palma była ofiarą jej złości, każdy strumień płynący, każda siedziba ludzka.

Wszędy przybywała z pomstą i żądzą zabijania, lecz wrogość jej największa skupiła się tym razem na katolickim kościołku.

Tutaj, nie bacząc na burzę, zebrała się garść narodu, którą przynęcał nie tyle obrząd, który miał się tu odbyć, ile wyjazd po tym obrzędzie całej niezwykłej karawany,—dzieło chluby i zarządzeń rozgłośnych Batucza. Był tu więc Hadi i Smain, piastujący w swym burnusie róże z ogrodu hrabiego Anteoniego. Przybył Larbi ze swym flecikiem i kupiec perfum ze swego ciemnego sklepu nie chybił także godziny. Było tu także wielu ogrodników hrabiego. A wraz z tymi, których Domini znała, zebrali się ich przyjaciele i przyjaciele ich przyjaciół, ludzie z Beni-Mory, ludzie z poblizkiej oazy, a nawet i ci wędrowcy pustyni, którzy codziennie ciągną poprzez piaski—do środowisk kupna i sprzedaży.

Z francuzów mało się ważyło na czas taki, i sam kościół był prawie pusty, gdy godzina zaślubin wybiła.

Ksiądz przybył ze swego małego domku, pochylając się w walce przeciw prądowi wiatru, z oczyma, osłonionemi od piasku niebieskiemi okularami.

Twarz jego, zazwyczaj poważna, dziś była smutna i surowa, jak twarz człowieka, który ma spełnić czyn wbrew swemu powołaniu, a nawet wbrew swemu sumieniu.

Wszedłszy do zakrystyi, zamknął drzwi na klucz, pragnąc przez chwilę pozostać sam z sobą. Siadł w fotelu i, oparłszy ręce na stole drewnianym, który stał pośrodku pokoju, pochylił się i patrzał przed się na ścianę przeciwległą, słuchając miotań wichury.

Miał spełnić czyn, przeciw któremu burzyła się cała przyroda; miał złączyć nierozerwalnie życia tych dwojga cudzoziemców, którzy tu do Beni-Mory przybyli—Domini Enfilden i Androwskiego. Miał związać ich białą stułą, rzec im uroczyste i nieprzełomne „Ego jungo“, pokropić ich obrączki wodą święconą i pobłogosławić je.

I teraz, gdy tu siedział, wsłuchując się w wycie burzy od zewnątrz, przebiegał w myśli dzieje tego obrzędu. Za kilka minut staną przed nim przy ołtarzu, on będzie patrzał w twarz tego człowieka i tej kobiety, których miłość powołany był uświęcić. Uświęci ją

i pójdą w daleką pustynię, jako mąż i żona. I zginą dla oczu śród burzy.

Gdy spojrzał na krucyfiks, który wisiał na ścianie nawprost niego, silniejszy pęd wichru uderzył o kościół, i zdało mu się, że Chrystus na krzyżu zadrżał.

Obaczył Go, jak zadrżał. Uniósł się, przechylił się przez stół i patrzał na krucyfiks oczyma, w których zdumienie łączyło się z przestrachem. Wtedy wstał, przeszedł przez pokój i dotknął krzyż palcami.

Gdy to czynił, chłopiec kościelny, którego obowiązkiem było pomagać mu w ubieraniu się, zastukał do drzwi zakrystyi. Ostry dźwięk przywołał go do przytomności. Poznał, iż po raz pierwszy w życiu stał się narzędziem złudzenia wzrokowego. Wiedział o tem i pomimo to nie mógł się pozbyć uczucia, iż Bóg sam odwraca się od tego aktu, który on miał za chwilę uświęcić—tu, w tym kościele, który mężnie stał twierdzą przeciw islamizmowi, iż Bóg sam zadrżał, jak oto nawet On, Stwórca, musi drżeć czasami na niektóre czyny Swojego stworzenia.

Była to chwila dla księdza gorzka, a nawet okrutna.

Mały kościelny, chłopię francuskie, syn pocztmistrza z Beni-Mory, został uderzony wyrazem oczu księdza, gdy ów otworzył mu drzwi zakrystyi. Ruch chłopca powrócił księdzu całkowitą świadomość konieczności chwili, to też mocnym wysiłkiem opanował snadnie rozterkę i skrył jej wyraz zewnętrzny.

Uśmiechnął się uprzejmie do chłopca i zapytał:

— Pora już?

Chłopię spojrzało już raźniej.

— Tak jest, proszę dobrodzieja.

Zbliżył się do komody, gdzie były szaty kościelne. Przechodząc koło krucyfiksu, spojrzał na niego. Otworzył szufladę, a potem stał chwilę—i znowu spojrzał na Chrystusa. DCN.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Polonica.

× *Graficy polscy.* P. Karol Kuzmany zamieszcza peryodycznie w kwartalniku wiedeńskim *Graphische Kunst* rozprawy o „młodszych grafikach w *państwie austryackiem*". Ostatni zeszyt tego pisma poświęcony jest nowej litografii, a osobny rozdział traktuje w nim o rozwoju litografii polskiej w Krakowie.

P. Kuzmany podkreśla znaczenie, jakie dla ostatniej miał zakład litograficzny A. Pruszyńskiego, gdzie dokonywane były pierwsze dzieła litografii polskiej i skąd wyszły najlepsze jej dzieła. W krótkich słowach charakteryzuje przedewszystkiem twórczość w tym kierunku Stanisławskiego i Wyczółkowskiego, następnie wspomina o innych artystach, których dzieła obejmuje wydana przez Jasieńskiego „Teka grafików polskich". Artykuł ilustrowany jest oryginalnemi litografiami L. Wyczółkowskiego: „Kościół Bożego Ciała" i Jana Stanisławskiego „San Marco w Wenecyi", oraz reprodukcyami z litografii Wojciecha Weissa, J. Mehoffera, St. Kamockiego i Edwarda Trojanowskiego.

Z literatury niemieckiej.

Harold Morré. „*Die Drei*". („*We troje*".) Los słynnego profesora medycyny stanowi treść książki niniejszej. Uczony ten, po długoletnich badaniach i doświadczeniach, mniema, że w krwi zwierząt, które długo żyją, wykrył surowicę, mogącą przedłużyć życie ludzkie. Młody lekarz amerykański, usłyszawszy o tem, zgłasza się do profesora i oznajmia, że pozwoli sobie zastrzyknąć ową surowicę dla wypróbowania jej działania i skutków, ale pod warunkiem, że profesor jednocześnie i sobie surowicę zastrzyknie. Narzeczona lekarza, podsłuchawszy ich tajemne narady, kradnie flaszeczkę cennej cieczy, by i sobie dawkę zastrzyknąć.

Po kilku miesiącach dopiero występują objawy, wykazujące, że surowica zaczyna działać, i wszystkie trzy osoby zapadają w stan letargiczny. Cały świat lekarski interesuje się niemi, gdyż narzeczona amerykanina powiedziała kilku uczonym, o co chodzi. Autor w sposób niesłychanie zajmujący a przytem naukowy opisuje dzieje tych trojga, którzy poświęcili się dla nauki—opowiada, jak ich obserwują, jak zostają zasypani, a potem, w cały wiek później, przypadkiem odnalezieni; jak budzą się do nowego życia i jakie są ich wrażenia w wieku XXI-ym. Harold Morré, obok wielu nieprawdopodobieństw, porusza zagadnienia przyrodnicze i medyczne, oświetla głębiej niejednę tajemnicę przyrody, mającą związek z życiem ludzkiem.

× *Henning Berger.* „*Tagebuch eines Einsamen*". („*Dziennik samotnika*".) Hotel paryski w dzielnicy Łacińskiej odsłania tu swój melancholijny urok. Samotnik wędruje z jednego pokoju do drugiego i znajduje samotniejszych jeszcze, którzy, jak fale, wypływają na powierzchnię i pogrążają się w głębi—ludzi zrozpaczonych, bezdomnych, którym pociechą jest oszołomienie chwilowe. Zdala dobiegają odgłosy wesołej Cyganeryi, z Mimi Pinson i Musettą w nowych, wiecznie młodych postaciach. Subtelna to, tchnieniem poezyi owiana książka. Ludzie p. Bergera mają na ustach uśmiech znużony, bolesny, jak na stosie, ułożonym z osobliwości ostatecznej kultury.

× *Herbert Eulenberg.* „*Du darfst ehebrechen!*" („*Możesz cudzołożyć!*"). „Wszystkim dobrym mężom" poświęca autor tę moralną książkę z niemoralnym tytułem i mówi w niej, jakby być powinno. Żona przebacza, nie proszona, bez wyznania męża, którego przeniewierstwo dręczy więcej, niż powiedzieć może. Żona mówi: „Miłość można zachować tylko miłością, a to, co się z niej utraciło, można odzyskać jedynie przez podwójną stawkę".

Z literatury francuskiej.

× *Stendhal.* (*Henryk Beyle.*) „*Sztuka uwodzenia*". Od młodości nosił się Stendhal z myślą napisania rozprawy o sztuce uwodzenia, lecz zamiar ten urzeczywistnił zaledwie w części. Napisał tylko fragment dzieła, lecz ten nie został wydrukowany.

Czasopismo francuskie *Revue Bleue* ogłasza obecnie kilka urywków z tego osobliwego dzieła Beyle'a. Na pierwszej stronicy umieszczona jest data „Czerwiec 1803". Beyle powrócił był wówczas z wojny we Włoszech, a miał lat dwadzieścia kilka. Jako najwybitniejszą cechę charakteru kobiecego, podaje Beyle *fałsz*, a stąd wychodząc, dowodzi, że najlepszym środkiem podejścia kobiety jest udawanie bezgranicznej szczerości. „Baw kobietę, a posiędziesz jej serce. Ale jak ją bawić? Anegdotami, w których dopatrywać się będzie pochlebnych o sobie uwag". Jaka jednak jest najlepsza taktyka względem wszystkich kobiet? Jednego dnia należy być pełnym zapału i tkliwości, następnego zupełnie obojętnym. A przytem nie należy zapominać o ośmieszaniu rywala przy pomocy rywala. W związku z temi naukami rzuca Stendhal kilka charakterystycznych aforyzmów, jak np: „Niema kobiety cnotliwej, której nie uprzykrzyłaby się cnota".

Tragizm losu zrządził, że ten pedagog sztuki uwodzenia był w życiu prawie zawsze nieszczęśliwym kochankiem.

× *Delarue-Mardrus.* „*Le roman de six petites filles*". („*Romans sześciu dziewczynek*".) Książka ta zawiera dużo ładnych obserwacyi z życia dziecinnego, lecz nie jest bynajmniej lekturą dla młodzieży. Owe sześć dziewczynek bowiem mają guwernantkę angielkę, która pozwala się uwieść ich ojcu i którą surowa mama wyrzuca z domu.

× *Marceli Prévost.* „*Pierre et Thérèse*" (*Piotr i Teresa.*) Głośny autor poruszył w tej najnowszej książce swojej zajmujące zagadnienie, czy przestępstwo, popełnione przez męża przed ślubem jest dla kobiety, o czystym charakterze, powodem do opuszczenia małżonka. Czynnikiem rozstrzygającym jest w tej powieści Prévost'a nie słuszność, lecz uczucie. Ponieważ Piotr nie zasługuje, jako małżonek, na najlżejszy zarzut, przeto żona przebacza mu owo przestępstwo, za które, w części przynajmniej, już odpokutował.

TREŚĆ NUMERU 39-go.

Emilia Plater. *Wacław Gąsiorowski.*
Dzieci zmierzchu. *Władysław Zalewski.*
Stratonika. *Juliusz Zeyer.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska, № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie